Pisać mi wolno. Spotkanie ze Słonimskim.

Antoni Słonimski, 1972 r. Foto: TVP/PAP- Zygmunt Januszewski

Florian Śmieja

Było czymś oczywistym, że poznawszy w Nowym Jorku Józefa Wittlina, a Kazimierza Wierzyńskiego w Londynie, pragnąłem spotkać ich skamandryckich druhów. W Londynie widywałem często Stanisława Balińskiego, najmłodszego ze świetnej plejady, rzadkiego już wtedy liryka, zerkającego ku teatrowi i mającego święcić triumfy w komedii „Polka z kraju", którą grano nie tylko w Anglii, ale także za Oceanem.

Podczas jednej z wizyt w Polsce poznałem wcale nieoczekiwanie Jarosława Iwaszkiewicza odwiedzając redakcję „Twórczości". Bywałem tam wcześniej, ale tamtym razem przywitawszy się ze Zbigniewem Bieńkowskim usłyszałem tylko jego słowa: „Jest szef" i zanim pojąłem, o co mu chodzi, rozsunął drzwi i wpuścił mnie do pokoju, w którym za biurkiem siedział Jarosław Iwaszkiewicz. Na dźwięk mojego

nazwiska wstał i wyciągnąwszy rękę do mnie powiedział: „No, co na to powie emigracja, jak się dowie, że pan był u mnie?” Pewnie jedynie wzruszyłem ramionami, bo cóż by miała powiedzieć? Zresztą, o ile pamiętam, nie wspominałem nigdy o tym wydarzeniu.

Nie pamiętam już, jak to się stało, że zatelefonowałem i umówiłem się z Antonim Słonimskim. Może zrobiłem to pod urokiem jego tekstu o Jezusie, który na osiołku przyjechał do Warszawy, kapitalnie podanym w Siemionowej Starej Prochowni. Mógł był mi o nim opowiadać ambasador J.K.M. sir George Clutton, mój dawny uczeń, urzędujący przy tej samej ulicy. Chyba że polecił mi go odszukać redaktor „Wiadomości” Mieczysław Grydzewski.

Bo Słonimski był w owym okresie w niełasce. Kiedy nieostrożnie podczas spotkania odezwałem się na ten temat, ubolewając, że mu zabroniono pisać, szybko zaripostował: „Ależ skąd, pisać mi wolno. Nie wolno mnie drukować”. W obecności ciętego satyryka i polemisty obowiązywała precyzyjność wypowiedzi…

Spotkaliśmy się w kawiarni bodaj „Stylowej” przy placu Trzech Krzyży. Pan Antoni przyszedł ze swoim ulubionym angielskim parasolem. Usiedliśmy na zewnątrz. Przechodnie kłaniali się panu Antoniemu, co on skomentował słowami: „Widzi pan, ludzie mnie znają i szanują. To tylko ci na górze”. Na chwilkę przysiadł się Stanisław Dygat. „I wie pan, czym się teraz oni zajmują?” Oczywiście, że nie wiedziałem. „Pilnie z wszystkich podręczników szkolnych usuwają moje wiersze”.

Nie przyznałem się, że we współredagowanym w Londynie miesięczniku wydrukowaliśmy wyraźnie już wtedy przypisywany Słonimskiemu poemat „Sąd nad Don Kichotem”, który krążył w odpisach i którego kopię zdobyłem.

Sądzę, że testament Don Kichota z tego poematu dobrze charakteryzuje Słonimskiego. Przytoczę kilka jego wersów:

Melodia, którą się pamięta,

Piosenka, której refren wraca,

Dowcip szyderczy, żart ulicy,

Rym celny, niespodziana pointa

To moi wierni sojusznicy.

W starej powieści i dramacie

Mój gest i głos mój rozpoznacie.

Poczciwy truizm, banał z nagła

Dreszczem przebiegnie wam po grzbiecie

Lub szlochem skoczy wam do gardła.

Latwo się mnie nie pozbędziecie.

Dziwnym trafem, kiedy tego samego dnia byłem u Julii i Artura Międzyrzeckich na Marszałkowskiej, zjawił się u nich także, dopiero co poznany, Słonimski.

Różnymi meandrami toczyły się jego losy: od redakcji pisma w Londynie po kierowanie tamże instytutem bojkotowanym przez emigrację, po triumfy a potem klęski po powrocie do Polski. Kiedy zginął tragiczną śmiercią, posypały się wspomnienia, artykuły hołdownicze i oporne laurki. Zmarły miałby nie byle jaką satysfakcję oglądać tych różnych ludzi powołujących się nań i biorących go za model postępowania. Słonimski już przedtem pomyślał o swoim epitafium, wymierzył sobie sam sprawiedliwość, miał odwagę wyznać swoje porażki i określić przeznaczenie:

że byłem kiedyś małoduszny,

że kiedyś zbrakło mi odwagi

I że milczałem wbrew sumieniu,

Umierający chcę być nagi.

Chcę zrzucić z piersi ciężar duszny

I raczej spocząć w zapomnieniu,

W przydrożnym prochu i popiele,

Niż na wysokim katafalku

W waszych fałszywych bóstw kościele.

Rękopis Antoniego Słonimskiego ze zbiorów Biblioteki Narodowej

Artykuł ukazał się w „Liście oceanicznym", dodatku kulturalnym „Gazety" z Toronto w 2003 r.